

# Terry Eagleton

---

## Postkolonializm i "postkolonializm"

---

Nowa Krytyka 26-27, 331-335

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Terry Eagleton**

## **Postkolonializm i „postkolonializm”\***

Z pewnością musi istnieć gdzieś sekretny podręcznik dla początkujących teoretyków postkolonialnych, którego druga reguła brzmi: „Rozpocznij swój esej od podania w wątpliwość samego pojęcia »postkolonializm«”. (Reguła pierwsza głosi natomiast: „Bądź tak obskurancki, jak tylko możesz, nie musisz się obawiać, że przez to twoich tekstów nikt nie będzie czytał”.) Wszyscy prawdziwi krytycy postkolonialni są głęboko podejrzliwi wobec idei postkolonializmu. Podobnie w okresie świetności strukturalizmu w latach sześćdziesiątych również trudno było spotkać strukturalistę, który przyznałby się do tego miana, jak znaleźć kogoś, kto nazwałby samego siebie dupkiem. Strukturaliści i krytycy postkolonialni, niczym masy u Raymonda Williama, to zawsze ci inni. Istnieje czcigodna już tradycja myślicieli z uporem wyrzekających się etykietek, które najlepiej ich opisują, począwszy od Marksa, twierdzącego, że nie jest marksistą, aż po Derridę, nieufnie i z rezerwą podchodzącego do terminu „dekonstrukcja”. Liberalni humaniści nie uważają się za liberalnych humanistów, lecz zwykłych ludzi, którzy widzą rzeczy takimi, jakie są, zamiast uciekać się do pretensjonalnego bagażu ideologicznego. Althusserowcy uznawali określanie ich w ten sposób za afront: dla nich nie istniał „althusserowski marksizm”, lecz po prostu marksizm, który Louis Althusser odczytał najtrafniej. Freudyzm nie

---

\* Tekst *Postcolonialism and 'Postcolonialism'* ukazał się pierwotnie w: „Interventions: International Journal of Postcolonial Studies” 1998, vol. 1 (1), s. 24–26. Przekład za zgodą wydawcy: Routledge. Taylor & Francis Group, któremu tą drogą tłumacze i redakcja „Nowej Krytyki” serdecznie dziękują za życzliwość i współpracę.

jest freudowską wersją nieświadomego, lecz odczytaniem nieświadomego jako takiego, językiem, w jakim by się ono wyrażało, gdyby potrafiło mówić. Obowiązkowe jest zatem rozpoczęcie każdej postkolonialnej książki czy eseju od wskazania na godną pożałowania nieadekwatność tego terminu, co pozwala odróżnić się od innych, rzekomo bardziej naiwnych, jednocześnie posłusznie odtwarzając to, co tamci robią.

Określenie „postkolonializm” jest niewłaściwe, jako że sztucznie homogenizuje zespół różnorodnych warunków; ponieważ rodzi różnego rodzaju trudności natury chronologicznej, od jakich włos się jeży na głowie; gdyż niefrasobliwie pomija te strefy globu, które wciąż są po prostu koloniami; dlatego że wyraża europocentryczny punkt widzenia; bo jest to tylko postmodernistyczny sposób zajmowania się tym wszystkim, co leży na południe od Palermo; bo sugeruje, że w społeczeństwie „postkolonialnym” wszystko jest postkolonialne w tym znaczeniu, w jakim każda rzecz pomalowana na zielono jest zielona i tak dalej. Wysuwając tak ciężkie zarzuty, w następnym akapicie w naturalny sposób przechodzi się do tego, co przed chwilą uznano się za nieistniejące.

W moim przekonaniu nie jest tak, że postkolonializm nie istnieje. Istnieje jednak zarówno coś, co określa się mianem postkolonializmu, jak również coś, co można by nazwać – cudzysłowy mające świadczyć o dystansie autora są obecnie w modzie – „postkolonializmem”. Mam tu na myśli fakt, że z pewnością istnieje spora część globu, która poddana była kiedyś kolonizacji bezpośredniej, a dziś kolonizowana jest na inne sposoby – rozróżnienie to obejmuje (lecz się do niego nie ogranicza) podział na środki polityczne i ekonomiczne. Jednocześnie istnieje określony program teoretyczny znany jako „postkolonializm”, mający swoje korzenie w bardzo konkretnej zachodniej historii intelektualnej i stanowiący fenomen dużo bardziej kontrowersyjny. To pierwsze znaczenie postkolonializmu ma tę zaletę, że jest w pełni oczywiste, lecz jednocześnie jest do tego stopnia bezsprzeczne, że aż nijakie; postkolonializm w drugim znaczeniu ma przewagę dzięki swej kontrowersyjności, lecz jednocześnie tę wadę, że dużo łatwiej może zostać zakwestionowany. „Postkolonializm” jest sposobem analizy rzeczywistego stanu rzeczy za pomocą pewnych modnych dziś zachodnich pojęć teoretycznych, z których nie wszystkie są adekwatne. Jest to zatem kwestia złożona pod więcej niż jednym względem. Zazwyczaj pociąga to za sobą, na przykład, zażartą niechęć do – nikt prawie nie ośmiela się wymówić tego strasznego słowa – „esencjalizmu”. A to oznacza między innymi

odrzućcie ideę wspólnego człowieczeństwa lub też natury ludzkiej jako liberalno-humanistycznej strategii ukrywania kulturowej różnicy. Można zatem zapytać, dlaczego uciskanie, powiedzmy, tureckich imigrantów w Europie uważa się za coś złego. Odpowiedź esencjalistyczna brzmiałaby, że jest to złe, ponieważ ciemnienie ludzi ogólnie jest czymś złym, a skoro tureccy imigranci są istotami ludzkimi, to w zgrabnie sylogistyczny sposób wynika z tego, że ich uciskanie także jest złem. Albo też można powiedzieć, że uciskanie Turków jest niewłaściwe, gdyż są oni Turkami – argument taki ma tę zaletę, że unika pojęcia powszechnej natury ludzkiej, ale też tę wadę, że jest absurdalny. Słabość takiego stanowiska polega również na tym, że zastępuje się jedną formę esencjalizmu inną. Albo weźmy ulubione „postkolonialne” pojęcia, jak: hybrydyczność, niewykluczanie, wielorakość, transgresja, nietożsamość, otwartość na Innego, propagowanie różnicy i całą resztę tej dobrze znanej litanii. Jeżeli uzna się te właściwości za kondycję pożądaną nie tylko dla Kurdów czy szkockich górali, lecz dla wszystkich, to w oczywisty sposób przemycą się ukradkiem niedające się obronić pojęcie natury ludzkiej, a udawanie, że się tego nie robi, to zwykły wykręt i błąd. W każdym razie zwolennicy postkolonializmu różnią się od wyznawców „postkolonializmu” tym, że nie są tak dogmatyczni i absolutystyczni w odniesieniu do cnotliwości owych pojęć. Nie każda różnica jest pozytywna, nie wszystkie wykluczenia są patologiczne (wykluczanie rasistów czy neonazistów?), pewne formy hybrydyczności są bolesne oraz raniące, a w żadnym razie nie wszyscy przybysze są pożądani. Na przykład imperialistyczne siły okupacyjne. Tak oto teoria wychwalająca cnoty różnicy i specyficzności nieustannie te kwestie pomija. „Postkolonializm” odnosi się na przykład zasadniczo nieufnie do nacjonalizmu, nie zauważając dość znaczącej różnicy między Włochami Mussoliniego a Mozambikiem.

Podręcznik dla początkujących postkolonialnych teoretyków zawiera u dołu każdej strony wskazówkę, by wykazywać sceptycyzm wobec wszelkich totalności. Czymkolwiek byłaby kondycja postkolonialna, nie jest czymś tak popolicie skupionym wokół jakiegoś centrum, tak ugruntowanym, symetrycznym i niedającym się zdekonstruować jak *system*. Fakt, że „postkolonialni” teoretycy kultury najczęściej w to wierzą, podczas gdy bankierzy, maklerzy i politycy w większości nie, powinien chyba tych pierwszych, lubiących przedstawiać się jako zwolennicy solidnego „materializmu”, zawstydzać o wiele bardziej niż ma to miejsce. Kichnięcie w Sajgonie może pociągnąć za sobą gripę w Indianie, lecz niektórzy myśliciele „postkolonialni” są ciągle zbyt zajęci walką z fałszy-

wymi problemami totalności, by przyznać, że zdają sobie z tego sprawę tak samo jak wszyscy. W chwili, gdy piszę te słowa, wygląda na to, że kryzys gospodarek Azji Południowo-Wschodniej wytworzy pewne poważne niepokoje społeczne, które mogą rozszerzyć się na Zachód. Francuska klasa robotnicza wyszła w tym czasie na ulice, sprzeciwiając się bezrobociu. Wszystkie te protesty mogą oczywiście zostać przekłamane lub spacyfikowane w typowy dla państwa burżuazyjnego sposób. Lecz gdyby przypadkiem nie udało się ich stłumić i walki społeczne rozprzestrzeniłyby się na wiele innych wyniszczonych, dotkniętych kryzysem gospodarek, czy byłyby to po prostu metonimiczne, przygodne, przypadkowe, aleatoryczne zjawiska, absolutnie niebędące częścią czegoś tak naiwnego jak wielka narracja?

Przechodząc do sedna sprawy: gdyby te społeczne niepokoje były niezaplanowane i nie miały zorganizowanego charakteru, nie mogłyby spowodować żadnej transformacji, a zamiast tego bez wątpienia doprowadziłyby do nasilonych represji państwowych i powszechnej ludzkiej katastrofy. Żaden socjalista nie mógłby patrzeć z triumfem na perspektywę społecznych rozruchów, gdyż spora grupa ludzi – wśród których nie byłoby wielu teoretyków literatury – zostałaby przez nie poszkodowana. Jedyne wyjście z takiej sytuacji to stworzenie przez uczestników tych wydarzeń spójnej listy postulatów oraz planu działania, a to między innymi oznacza przetrwanie socjalistycznych poglądów w epoce, w której na każdym kroku są one zagrożone. „Postkolonializm”, przyczyniając się do wycofania, zmarginalizowania i wyeliminowania takich coraz bardziej niemodnych pojęć, ponosi tym samym w tej kwestii część odpowiedzialności. W przeciwieństwie do afirmacji tożsamości kulturowej, pojęcie walki klas jest dziś *passé*, a jego używanie wprawia w zakłopotanie. Jedną z mniej chwalebnych przyczyn pojawienia się dyskursu postkolonialnego, jak również feminizmu, jest to, że w społeczeństwach, które te dyskursy zrodziły, inne rodzaje konfliktu politycznego okazują się obecnie zbyt trudne do rozgryzienia; przez to nastąpił pewien efekt przesunięcia. (Nie muszę dodawać, że istnieje wiele bardziej godnych uznania powodów wyłonienia się obu tych nurtów politycznych.) Czy naprawdę musimy przekonywać, że to, co się dzieje, kiedy „etnicznie marginalizowane” grupy na całym świecie występują przeciwko państwom zależnym od Zachodu, *jest* kwestią walki klas? Czy też w dalszym ciągu będziemy naiwnie wierzyć, że konflikt klasowy dotyczy wyłącznie stuprocentowo męskich górników z Yorkshire?

„Postkolonializm” – podobnie jak postmodernizm w ogólności – jest odmianą kulturalizmu, który wyolbrzymia znaczenie czynników kulturowych w życiu ludzi. To słabostka, na którą intelektualisci zajmujący się literaturą są wyjątkowo podatni. Z pewnością byłoby dla nich pocieszające, gdyby stawką stosunków między Północą i Południem były przede wszystkim kwestie wartości, znaczenia, historii, tożsamości i praktyk kulturowych, a nie zbrojeń, porozumień handlowych, sojuszy wojskowych, handlu narkotykami i tym podobnych. „Postkolonializm” ma o wiele więcej do powiedzenia na temat tożsamości niż Międzynarodowego Funduszu Walutowego, bardziej jest zafascynowany marginalnością aniżeli rynkami. Trudno mu zaakceptować, że uznanie różnicy, hybrydyczności, wielorakości stanowi skrajnie zubożoną postać etyki politycznej, w przeciwieństwie do afirmacji ludzkiej solidarności i wzajemności – nawet jeśli to pierwsze jest warunkiem koniecznym tego drugiego. Pokrzepiające byłoby zatem, gdyby to nowe, jakże potrzebne czasopismo<sup>1</sup>, dokonywało konfrontacji pomiędzy postkolonializmem a „postkolonializmem”. Bez wątpienia potrzeba nam – co uradowałoby Edwarda Morgana Forstera – otwartości, dialogu, odrzucenia prostych binarnych opozycji, a także należytego uznania złożonej, niestabilnej, nierozstrzygalnej i niezdeterminowanej natury rzeczywistości. Mam również nadzieję, że w wyniku całego tego dialogu, hybrydyzacji i wzajemnej dekonstrukcji, „postkolonializm” przegra.

*Przełożyli  
Michalina Golinczak i Jakub Maciejczyk*

---

<sup>1</sup> Pierwotnie tekst ukazał się w pierwszym numerze czasopisma „Interventions”.